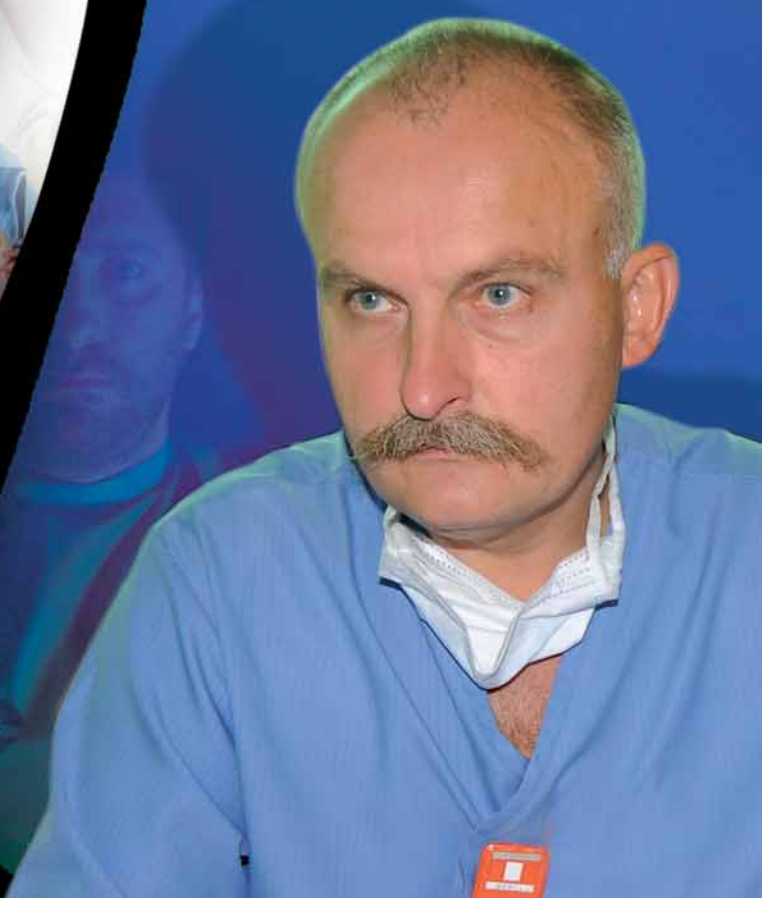




Oskarżony neurochirurg
na sali sądowej:
– Przyszedł chory prosić
lekarza o ulgę
w cierpieniu,
a potem okazało się,
że to cwaniak,
kryminalista.

Operacja „Białe fartuchy”



**prof. dr hab. n. med.
Jan Podgórski**

Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie całkowicie uniewinnił wybitnego neurochirurga **prof. dr. hab. n. med. Jana Podgórskiego**, byłego szefa Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie przy ul. Szaserów, kierownika kliniki neurochirurgii. Profesor nie mógł zobaczyć radości na twarzach życzliwych mu obserwatorów procesu po ogłoszeniu wyroku. W tym dniu miał zaplanowaną trudną operację. Uznał, że jego miejsce jest przy chorym.

Neurochirurgowi prokuratura postawiła 7 zarzutów. Najważniejsze to lewe zaświadczenia lekarskie dla gangstera Andrzeja Z., ps. Słowik, bossa pruszkowskiej mafii. A także dla Patryka W., oskarżonego o przestępstwo gospodarcze.

Już pierwszego dnia procesu oskarżony zwrócił się do dziennikarzy, by nie stawiali inicjałów w miejscu jego nazwiska – jest niewinny i chce się bronić z otwartą przyłbicą.

Płk Robert J. obciąża

Akta prokuratorskie sprawy profesora otwiera 20-stronicowy, napisany zapewne przez psychopatę, anonimowy donos z początku 2006 roku – poświęcony „nieprawidłowościom w szpitalu na Szaserów”, w najmniejszym stopniu (!) dotyczący gen. Podgórskiego. Jednak min. Ziobro polecił żandarmerii oraz innym służbom rozpocząć akcję wyłącznie przeciwko profesorowi. Ówczesny szef CBA Mariusz Kamiński oświadczył na konferencji prasowej, że generał Jan Podgórski „organizował najgroźniejszym przestępcom w Polsce dokumentację medyczną, którą się posługiwali, aby uniknąć więzienia”.

Generała nie aresztowano – czego domagała się wojskowa prokuratura, gdyż sąd, nie przekonany do rzetelnego udokumentowania zarzutów, nie wydał na to zgody. Jan Podgórski został natomiast zawieszony na stanowisku szefa kliniki w szpitalu na Szaserów. I – w konsekwencji tych działań, zgodnie z „pragmatyką kadrową” min. Szczygły – przeniesiony do rezerwy kadrowej, a następnie (już na własną prośbę) zwolniony z wojska.

Poza profesorem zarzuty postawiono czterem lekarzom ze szpitala przy Szaserów i z Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. Ponadto dwóm pacjentom, którzy – wspierając się diagnozami ze szpitala MON – usiłowali wyłudzić w ZUS zasiłki, oraz by-

łej żonie „Słowika”. Oprócz pieniędzy, korzyściami uzyskiwanymi od pacjentów były – według aktu oskarżenia – remont domu i obietnica nabycia samochodu na szczególnie ulgowych warunkach.

Profesor i pozostali oskarżeni lekarze z WIM nie przyznali się do winy w żadnej mierze. Spośród kolegów po fachu tylko jeden, emerytowany ppłk Robert J., kierownik zakładu rehabilitacji w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, wykładowca na wyższych uczelniach – zgodził się ze stawianymi mu zarzutami. Obciążył też byłego szefa WIM oświadczeniem, że profesor za obejrzenie i zaopiniowanie dokumentacji medycznej 2 osób starających się o rentę w ZUS przyjął kwotę po 300 zł.

Poza podpułkownikiem J. na niekorzyść profesora zeznawał w śledztwie Jarosław R., gangster z Suwałk. Twierdził, że w 2006 r. za przyjęcie do kliniki, wystawienie zaświadczenia o leczeniu i przyspieszenie operacji zapłacił łącznie 4 tys. zł.

Opowiadałam głupoty

To nie był długi proces – zaledwie 17 rozpraw. Prokurator usiłował podeprzeć akt oskarżenia zeznaniami (a właściwie pomówieniami) słynnego świadka koronnego „Masy”. Ale jako wieści z drugiej ręki, ogólnikowe i zasłyszane od innego gangstera, nie mogły stanowić dowodu. W ogóle sądowa weryfikacja poszczególnych zarzutów prokuratorskich wykazała, jak bardzo były „z sufitu”. Po wysłuchaniu świadków i wyjaśnieniu oskarżonych poszczególne zarzuty prokuratorskie padały jeden za drugim.

Sprawa „Słowika”: Zdaniem szefa CBA, prof. Podgórski sporządził dla tego groźnego przestępcy sfalszowaną dokumentację medyczną, aby ten uniknął więzienia. Motorem oszustwa była rozwiedziona z Andrzejem Z. Monika B. i z tego powodu miała postawiony zarzut. Ale była żona „Słowika” od początku twierdziła, że naprawdę szukała w szpitalu na Szaserów pomocy dla osadzonego w areszcie ojca jej dziecka.

Tę wersję potwierdziła zeznania Joanny P. Kobiety poznały się w latach 1998–2000, gdy przychodziły na widzenia z mężami.

– Monika zwierzała mi się – powiedziała w sądzie świadek – że gdy „Słowik” wyszedł z aresztu na przepustkę, był w takim stanie, że robił pod siebie. Załamana, szukała dobrego lekarza. Dałam jej telefon dr. Andrzeja M. ze szpitala na Goszczyńskiego. Nie wiem, czy Monika wręczała mu pieniądze. Pamiętam tylko, że gdy się umawiała na wizytę, to nie chcąc ujawnić głośnego już wtedy nazwiska męża, powiedziała, że potrzebuje konsultacji dla swojej chorej babci.

Dr Andrzej M. był oskarżonym w procesie lekarzy z Szaserów. Nie stawiał się na rozprawie z powodu depresji.

Został natomiast doprowadzony z więzienia – w charakterze świadka – Andrzej Z., pseudo Słowik. Groźnego przestępcę w czerwonym kombinezonie otaczało kilku uzbrojonych po zęby antyterrorystów, co wywołało spore zamieszanie na wąskim korytarzu wojskowego sądu. Więcej było przygotowań zabezpieczających niż samej obecności świadka na sali rozpraw. Andrzej Z. skorzystał bowiem z prawa odmowy zeznań, jako były mąż oskarżonej.

Nie stronił natomiast od odpowiedzi prof. Jan Podgórski.

– W 1998 roku – wyjaśnił – wydałem Andrzejowi Z. jedynie zaświadczenie, iż był zbadany przeze mnie ambulatoryjnie. Nie wziąłem za to żadnych pieniędzy. Później, gdy pacjent znalazł się w więziennym szpitalu, na prośbę jego rodziny i lekarza więziennego, uczestniczyłem w konsultacji medycznej. Za zgodą komendanta aresztu. Orzekłem wtedy, że Z. kwalifikuje się do leczenia operacyjnego z powodu dyskopatii lędźwiowej, co potwierdziło kilku innych konsultantów, zaś pacjenta zoperowano w CSK MSWiA dopiero kilka lat później...

Znany neurochirurg twierdził, że dopiero w areszcie przy ul. Rakowieckiej dowiedział się, iż jego pacjent jest gangsterem z pruszkowskiej mafii. Nie miał też pojęcia, że inny młody mężczyzna, który zgłosił się do niego z silnymi bólami nogi, jest poszukiwanym przestępcą z Suwałk.

Ten pacjent, Jarosław R., ani razu nie stawiał się na wezwanie sądu. Nie jest znany jego adres zamieszkania. Wiadomo tylko, że po złożeniu w prokuraturze zeznań obciążających lekarzy ze szpitala na Szaserów, a zwłaszcza ordynatora neurochirurgii, szybko opuścił zakład karny. Z trzyletniego wyroku odsiedział tylko pół roku. Obecnie jest poszukiwany listem gończym do innego postępowania.

Ale zeznawali inni świadkowie, a nawet współsprawcy pomówienia profesora.

Stawiła się Barbara T. Lat 50, drobna, schorowana. Na rutynowe pytanie sędziego, co wie o sprawie, w której zeznaje, najpierw wymieniła szereg swoich poważnych dolegliwości, od lat leczonych w warszawskim szpitalu na Bródnie. Potem uprzedziła, że nic nie będzie mówić, bo już raz prokuratorzy z niej wydusali zeznania, grożąc długoletnim więzieniem (siedziała wtedy w areszcie do innej sprawy), i o mało co nie przypłaciła tego życiem. Z nerwów zapomniała wziąć insuliny, spadł jej cukier we krwi, była półprzytomna.

Sędzia odczytał zatem protokół przesłuchania Barbary T. w śledztwie:

Z Jarosławem R. poznał ją jej ówczesny partner Marek M. Było to w 2006 roku. Jarek zwierzył się, że jest na przepustce z więzienia, ma jeszcze kilka lat do odsiadki. Nie chce wracać za kraty, chciałby sobie zorganizować papieri ze szpitala, najlepiej z neurochirurgii.

Wtedy Marek powiedział, że zna dr. Podgórskiego, który za pieniądze napisze Jarkowi, że niby miał operację i nie może leżeć w celi na pryczy. Żeby nie było podejrzeń, Jarek zarejestruje się w przychodni przyszpitalnej, a ordynator trochę przetnie skórę podstawionemu chłopakowi, który będzie podobny do R. i ma takie samo imię. Za fатыgę poszukania zmiennika Marek dostał od Jarka 20 tysięcy złotych.

– Moja rola – zeznała w śledztwie Barbara T. – miała polegać na tym, że pojedę z Jarkiem na Szaserów i pokażę mu, gdzie przyjmuje prof. Podgórski.

– Nie potwierdzam wyjaśnień składanych w prokuraturze – mówiła na rozprawie Barbara T. – Nie wiem, dlaczego opowiadałam takie głupoty. Nie znam dr. Podgórskiego, w ogóle żadnego z lekarzy na ławie oskarżonych. Marek M. krótko był moim partnerem. Siedziałam z nim przy kawie, gdy podjechał R., przedstawił się jako Jarek. Nie było rozmowy o załatwianiu dokumentów ze szpitala. Marek powiedział mi, że Jarek nie jest z Warszawy i chciałby zapisać się do neurochirurga w przychodni szpitalnej na Szaserów, czy mogłabym mu więc pomóc w zarejestrowaniu się, skoro wiem, jak się poruszać w szpitalu. Zgodziłam się. Później jeszcze raz spotkałam się z R., bo pożyczył mi 400 złotych. Oddałam, gdy tylko przyszła renta z ZUS.

Nie wiem, skąd się wziął w moich zeznaniach przed prokuratorem ten chłopak, że niby był operowany za R. Ja choruję na cukrzycę, jak nie wezmę w porę proszku, nie wiem, co mówię. Mam zaburzenia świadomości, teraz też muszę się bardzo skupić, aby odpowiedzieć na pytania. Nieprawda, że Marek dostał od R. 20 tysięcy. Ja go nie bronię, bo mnie zostawił, wyjechał za granicę i nie daje znaku życia, po prostu teraz mówię prawdę.

Dobre rady śledczego

Zeznania Barbary T. uzupełnił przed sądem inny świadek, niegdyś kolega Jarosława R., twierdząc, że „historię z podstawionym rzekomym pacjentem Jarek wymyślił na czyjeś polecenie”.

Z kolei powołany na świadka dr Maciej Rz. z kliniki neurologii WIM opowiedział, jak to było z przyjęciem na jego oddział Jarosława R. W relacji tego świadka w lipcu 2006 r. podeszła do niego, wówczas lekarza o niewielkim stażu, pielęgniarka z informacją, że telefonuje dyrektor szpitala prof. Podgórski.

Dr Rz. usłyszał, że zgłosi się pacjent Jarosław R., który ma rwę kulszową i powinien być położony na neurologii. Ale nie ma skierowania do szpitala. Prośba profesora była taka, aby lekarz wypisał choremu to skierowanie. – Nie badałem pacjenta – zeznał Rz. – polegałem na wiedzy profesora. Weryfikowanie rozpoznania tak wielkiego autorytetu medyczne-

go byłoby nietaktem. Ale w czasie rozmowy z pacjentem coś mnie zaniepokoiło. Nim chorego przejął lekarz dyżurny Ryszard J., R. poprosił mnie o wypisanie zaświadczenia dla sądu w Suwałkach, że leży w szpitalu wojskowym. Mówił, że czeka go operacja na neurochirurgii, ale ja odniosłem wrażenie, że wyolbrzymia swoje dolegliwości. Dr Ryszard J. też uważał, że wystarczy leczenie zachowawcze. Dlatego w zaświadczeniu dla sądu nie podałem informacji o stanie zdrowia pacjenta, a jedynie – o jego pobycie w klinice.

– Czy zauważył pan oznaki bliższej znajomości między moim klientem a tym pacjentem? – zapytał świadka mec. Marian Hilarowicz, obrońca oskarżonego Jana Podgórskiego.

– Nie. Profesor wykazywał dużą życzliwość wszystkim chorym. Taką też miał w szpitalu powszechną opinię.

Po tym zeznaniu oskarżony skorzystał z prawa do złożenia oświadczenia. Wyjaśnił, że Jarosław R. przez kilka miesięcy umawiał się z nim na ewentualną operację – twierdził, że ma obszerną dokumentację swej choroby.

– Ciągłe zmieniał termin, a ja cierpliwie przeklejałem kartkę w kalendarzu przyjęć do kliniki. Gdy wreszcie się stawił, poprosiłem go o pokazanie aktualnych badań, przede wszystkim rezonansu magnetycznego wykonanego w Szpitalu Bródnowskim, o którym mi wcześniej mówił. To, co zobaczyłem na kliszy, było nieadekwatne do skarg pacjenta, rzekomo cierpiącego na straszliwy ból. Nie chciałem go przyjąć do kliniki na operację, ale dla spokoju sumienia poszedłem się poradzić ordynatora neurologii, prof. Adama Stępnia. On uznał, że skoro człowiek tak cierpi, trzeba go przebadać na neurologii... I dlatego zadzwoniłem do dr. Macieja Rz.

W tym momencie emocje oskarżonego wzięły górę nad jego opanowanym sposobem bycia. Profesor wyrzucił z siebie: – Przyszedł chory prosić lekarza o ulgę w cierpieniu, a potem okazało się, że to cwaniak, kryminalista.

Ryszard J., lekarz, który na neurologii prowadził Jarosława R., zeznał w sądzie, że rutynowo skierował chorego na zabiegi rehabilitacji i fizykoterapii. Tymczasem...

– Pacjent uprzedził mnie, że dostanę pismo z sądu w Suwałkach w jego sprawie i będę musiał na nie odpowiedzieć. Rzeczywiście, przyszedł taki list z zapytaniem, jak długo skazany Jarosław R. pozostanie na szpitalnym łóżku i od kiedy może odbywać karę pozbawienia wolności. Odpowiedziałem sądowi, jakie jest rozpoznanie (dyskopatia lędźwiowa i rwa kulszowa) i że nie wykluczam operacji, bo chory miał takie kwalifikacje z neurochirurgii. To pismo pokazałem szefowi naszej kliniki, który na obchodzie doszedł jednak do wniosku, że chory symuluje i kazał go jak najszybciej wypisać. Na wszelki wypadek zrobiliśmy badanie – wykłużyło rwę kulszową. Jarosław R. za za-

świadczenie do sądu wręczył mi w kopercie 400 zł. Ze słowami: – „Nie wiem, co pan doktor pije, proszę samemu sobie coś kupić”... Zależę, że wziąłem te pieniądze.

Gdy sędzia odczytał Ryszardowi J. całe jego zeznania w śledztwie, świadek zaprzeczył niektórym słowom z protokołu. Przede wszystkim stwierdzeniu, że dr Podgórski pomagał Jarosławowi R. uniknąć odpowiedzialności karnej.

– Chciałem powiedzieć, że oskarżony profesor został zmanipulowany przez gangstera. Gdyby naprawdę zamierzał ułatwić Jarosławowi R. uniknięcie więzienia, to by go operował bez odsyłania na konsultację neurologiczną. Potem mogłyby wystąpić rzekome powikłania, następnie pół roku rehabilitacji i ewentualnie znów silny zespół bólowy, trudny do wykrycia. Mówiąc w śledztwie o Jarosławie R. – jako protegowanym profesora – wyraziłem się nieprecyzyjnie, powiedziałem za dużo. Fakt, że ordynator neurochirurgii dzwonił i prosił o przyjęcie tego pacjenta na nasz oddział, znaczy tylko tyle, że miał wątpliwości, czy operacja jest potrzebna. Na neurologii wielokrotnie zdarzają się dyskwalifikacje pierwotnej decyzji położenia pacjenta na stół.

Świadek zaprzeczył też, jakoby sugerował w śledztwie, że żona profesora, pracująca na Szaserów jako radiolog, mogła podmienić klisze.

– Zapytali mnie – wyjaśniał na rozprawie – czy na radiologii można sfalszować opis rezonansu magnetycznego. Odpowiedziałem, że wszystko można sfalszować. A czy np. dr B., żona prof. Podgórskiego, która tam pracuje, mogłaby podstawić klisze innego pacjenta? Odpowiedziałem, że każdy mógłby to zrobić. Ale ja nikogo nie podejrzewałem.

W chwilę później oskarżony profesor zaprzeczył, żeby dr B. była jego żoną.

Adwokaci wypytywali świadka, skąd u niego taka znajomość tworzenia fikcyjnej dokumentacji lekarskiej. Z życiowego doświadczenia – twierdził dr J. Z taką praktyką spotkał się szczególnie w sytuacjach, gdy potrzebne były zaświadczenia lekarskie dla ZUS lub na prawo jazdy. Miał też do czynienia z przestępstwem podmiiany nazwiska na kliszy z rezonansu. To było zrobione w celu uniknięcia poboru do wojska. Akurat w tym przypadku fałszerz wpadł, bo podstawił zdjęcia 70-latka ze zmianami zwyrodnieniowymi.

Prokurator usiłował uratować wiarygodność zeznań swego świadka w śledztwie. Ale Ryszard J. z uporem twierdził, że nie tak zeznał. A dlaczego podpisał protokół? Bo czytał po łebkach, gdyż zapomniał wziąć okulary. I szczegółowo opowiedział, w jakich okolicznościach był przesłuchiwany:

Jeszcze nim doszło do formalnego spisania protokołu, poproszono go wraz z trzema innymi lekarzami, też z neurologii, na „prywatne” spotkanie z podpułkownikiem żandarmerii »



wojskowej, Sławomirem Nowakiem, w warszawskiej kawiarni „Wiedeńska”. Po podaniu kawy, oficer wyciągnął kodeks karny i kazał im przeczytać przepisy dotyczące składania fałszywych zeznań. Mówił, że wie dużo, ale jeszcze nie pora, aby to ujawnić. Jego pytania » dotyczyły różnych osób, m.in. chodziło mu o leczenie głośnego aferzysty Bogusława B.

– Gdy tłumaczyłem się niepamięcią – zeznawał Ryszard J. – pułkownik dał mi 3 dni na przypomnienie sobie, w przeciwnym razie zostanę wezwany na przesłuchanie do żandarmerii. Zostawił numer swego telefonu komórkowego, gdyby mi coś przyszło do głowy; rzucił, żeby tak to się skończyło.

Na drugi dzień koledzy w klinice przypomnieli mu o sprawie pacjenta Jarosława R. Więc zadzwonił. Wtedy pułkownik zaprosił go do hotelu Belweder. Odhaczył nazwisko R. w swoim notesie i zaraz potem padła ksywa „Słowik”.

– Zadrzałem, bo gdy powiedziałem, że nie znam nikogo takiego, widziałem po jego twarzy, że mi nie wierzy. Ten funkcjonariusz groził, że będę zatrzymany w szpitalu i wyprowadzony na oczach pacjentów. Wtedy szybciej sobie wszystko przypomnę... Nie wiem, czy to był szantaż, czy może taki żart.

Ktoś postanowił kogoś skrzywdzić

Podobnej treści zarzut spreparowania fałszywej dokumentacji lekarskiej, aby zamknięty w celi więzień mógł wyjść na wolność, dr

Podgórski otrzymał w związku z aresztowaniem Patryka W.

Profesor znał tego pacjenta od 1986 roku. Ośmioletni wówczas Patryk doznał poważnych obrażeń w wypadku samochodowym. Chłopiec wracał z ojcem i kolegą z wakacji na Mazurach. Doszło do zderzenia pojazdów. Tak się złożyło, że wypoczywający nad jeziorami neurochirurg z Szaserów był pierwszym, który ratował ofiary katastrofy. W szpitalu w Nidzicy Patryk przeszedł operację nogi – niestety, nieprawidłowo zrekonstruowano kość udową. Miał niedowład stopy. Zrozpaczony ojciec chłopca, Krzysztof W., szukał ratunku dla dziecka. Dowiedział się, że w szpitalu MON przy Szaserów pracuje wybitny neurochirurg, prof. Jan Podgórski. W. był szczęśliwy, gdy – po konsultacji w szpitalu w Nidzicy – profesor zajął się chłopcem. To była długa walka o odzyskanie sprawności nóg – z uwagi na wadę serca ponowna operacja nie wchodziła w rachubę. Leczenie zachowawcze w szpitalu trwało prawie rok, a potem, latami już, w prywatnym gabinecie profesora.

W 2002 r. 24-letni Patryk W. został aresztowany. Prokuratura w Bielsku-Białej postawiła mu zarzut wyłudzenia podatku VAT. W więzieniu nasiliły się dolegliwości związane z wypadkiem w dzieciństwie. Jak twierdził przed sądem Krzysztof W., jego syn krzyczał z bólu, a lekarz więzienny uważał, że to symulowanie choroby.

Ojciec aresztowanego postanowił uzyskać od prof. Podgórskiego zaświadczenie o długoletnim leczeniu Patryka w szpitalu na

Już pierwszego dnia procesu oskarżony zwrócił się do dziennikarzy, by nie stawiali inicjałów w miejscu jego nazwiska – jest niewinny i chce się bronić z otwartą przyłbicą

Szaserów i w ten sposób wyciągnąć aresztanta do domu. Pojechał do profesora, ale wstydził się przyznać, po co mu taki dokument.

– Za zaświadczenie nie zapłaciłem ani grosza, nie sugerowałem też treści. Nie pamiętam, jak wybrałem z odpowiedzią na pytanie lekarza, po co mi ta dokumentacja. W każdym razie dostałem opinię, choć szczerze mówiąc, byłem trochę rozczarowany zbyt lakoniczną treścią. Profesor powiedział, że nie może napisać więcej o pacjencie, którego nie widzi – zeznał Krzysztof W.

Zaświadczenie o chorobie nie przyniosło oczekiwanego skutku. Patryk W. odpowiadał z

wolnej stopy dopiero po wpłaceniu 200 tysięcy złotych kaucji.

Mecenas Marian Hilarowicz do świadka: – Czy kiedykolwiek się pan zastanawiał, dlaczego przesłuchiwało pana w sprawie lekarzy z Szaserów? I to pięciokrotnie?

– Moim zdaniem, ktoś postanowił kogoś skrzywdzić, kogoś, kto niczemu nie jest winien. Chcieli wymusić na mnie, abym powiedział do protokołu, że profesor brał łapówki. Ale ja nie mogłem tego poświadczyc za żadną cenę. Ani w CBA, ani w prokuraturze.

Adwokat: – Pan użył słów: „za wszelką cenę”. Jak mamy to rozumieć?

– Powiedzieli mi w CBA: „Nie jesteśmy w stanie posadzić cię za zarzuty gospodarcze, to pójdiesz siedzieć za wojsko”. Bo podczas przeszukiwań mieszkania syna znaleziono orzeczenie komisji wojskowej o jego niezdolności do służby i przepytujący mnie oficer usiłował mi wmówić, że załatwiłem taki papier na lewo. Strasznie mnie wałkowali, aż w końcu odmówiłem wizyt w CBA. Nie jestem strachliwy, ale ten terror psychiczny miał takie natężenie, że zacząłem się bać. Kiedyś funkcjonariusz powiedział mi: – Jedno moje pstryknięcie i drzwi się przed tobą otworzą, wyjdiesz wolny na miasto. Tylko potwierdź.

Wielu świadków mówiło w sądzie o nakłanianiu ich przez CBA do oskarżenia prof. Podgórskiego.

Naciski

Zeznawali też pracownicy ZUS, w związku z zarzutem fałszowania dokumentacji lekarskiej w celu otrzymania zasiłków zdrowotnych. W tej sprawie przed sądem stanęło dwóch oskarżonych rzemieślników – Mieczysław W. i Mirosław S.

Pierwszy, zdaniem ZUS, wyłudził 4 tysiące złotych. Drugi 12 tys. zł.

Gdy dostali decyzję odmowną, złożyli odwołanie, wsparte dokumentacją o uszczerbku na zdrowiu otrzymaną od dr. Roberta J. (Tego, który obciążył prof. Podgórskiego twierdząc, że płacił dyrektorowi WIM za konsultację wyników badań 2 pacjentów ubiegających się o świadczenie z ZUS). W śledztwie oskarżeni twierdzili, że płacili płk. Robertowi J. Natomiast o udziale prof. Podgórskiego w fałszowaniu dokumentacji lekarskiej nie mieli pojęcia.

– Nie musieli – pieczęć wojskowego instytutu nadawała dokumentom rangę, a nazwisko profesora budziło respekt – replikował przed sądem Robert J.

– Dlaczego dr Robert J. pana oskarża? – sędzia Jacek Gurbier zapytał profesora już na pierwszej rozprawie.

– Nie wiem – odparł Jan Podgórski. – Nigdy nie brałem od ppłk. J. pieniędzy, choć przez wiele lat bezpłatnie pomagałem mu w stawianiu diagnozy. Nigdy też nie poświadczylem

nieprawdy w dokumentacji medycznej. Chyba nikt nie potrafi wytłumaczyć zachowania dr. J.

Znalazł się jednak na sali sądowej ktoś, kto twierdził, że zna odpowiedź. To obrońca oskarżonego profesora, mec. Marian Hilarowicz. Zapowiedział, że wszystko się wyjaśni po powołaniu świadków, których CBA usiłowało nakłonić do złożenia zeznań godzących w profesora.

Mecenas wystąpił o przesłuchanie byłego funkcjonariusza policji Pawła K., który powiedział w programie TVN Superwizjer, że w marcu 2007 r. funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego w Warszawie nakłaniali go do wręczenia kontrolowanej łapówki prof. Janowi Podgórskiemu. Wcześniej K. zeznał to w białostockiej prokuraturze.

Mecenas Hilarowicz domagał się też przesłuchania ppłk. Sławomira Nowaka, o którego metodach zastraszania świadka mówił na rozprawie świadek dr Ryszard J. Zwrócił też uwagę sądu, że w aktach prokuratorskich jego klienta znajduje się informacja o powiązaniach oskarżonego profesora z pracownicą służby zdrowia Stanisławą P. (nie występującą w tym procesie) w rzekomym wyłudzeniu 1 300 000 zł od chorej na raka Elżbiety L.

Przeciwko Stanisławie P. toczy się postępowanie karne. Na skutek wniesionej przez nią apelacji od wyroku Sądu Rejonowego w Otwocku sprawa została przekazana do Sądu Okręgowego Odwoławczego Warszawa-Praga.

CBA dwukrotnie zwracało się do tego sądu o wydanie zezwolenia dwóm funkcjonariuszom Biura na widzenie z tymczasowo aresztowaną Stanisławą P. W uzasadnieniu służby śledcze podawały, że chodzi o przesłuchanie P. w charakterze świadka do sprawy Jana Podgórskiego, prowadzonej wówczas przez Wojсковą Prokuraturę Okręgową w Warszawie.

Policjanci dostali taką zgodę. I niewątpliwie widzieli się z aresztowaną, o czym świadczy wystąpienie obrońcy Stanisławy P. na rozprawie apelacyjnej, który wnosił, aby funkcjonariusze CBA nie otrzymywali dalszych widzeń z jego klientką, gdyż skarży się, że jest przez nich „naciskana”. CBA jednak nie odstąpiło od nękania Stanisławy P. i miesiąc później ponowiło wniosek tej samej treści, co poprzednio. I znów dostało zgodę na widzenie.

– W aktach sprawy przekazanej przez prokuraturę wojskową do tutejszego sądu – zdecydowanie punktował mec. Marian Hilarowicz – brak jakichkolwiek protokołów z przesłuchania Stanisławy P. przez CBA. Czy zatem, zbierając materiał dowodowy przeciwko profesorowi Janowi Podgórskiemu, nie naruszano obowiązującego prawa, a konkretnie – czy organa prowadzące postępowanie karne uwzględniały okoliczności przemawiające na korzyść tegoż oskarżonego? I, w konsekwencji, czy przestrzegano kardynalnej zasady procesu karnego, aby w jego wyniku osoba niewinna nie ponosiła odpowiedzialności?

Mecenas domagał się odpowiedzi na te istotne pytania również z uwagi na to, że do akt Jana Podgórskiego dołączono notatki oraz karty choroby pacjentów profesora, nie mające żadnego związku z prowadzonym postępowaniem. Zachodziło natomiast podejrzenie, że nie włączono dokumentów procesowych przemawiających na korzyść oskarżonego.

Kolejny wniosek mec. Hilarowicza dotyczył odtworzenia przebiegu konferencji prasowej 23 sierpnia 2007 roku z udziałem ministra Zbigniewa Ziobro i ówczesnego szefa CBA Mariusza Kamińskiego.

Wydarzenia toczyły się następująco: Profesor został zatrzymany 22 sierpnia o godzinie 6.55. Przez cały dzień czekał na przesłuchanie. Wreszcie jego adwokat uzyskał informację, że podejrzany stanie przed prokuratorem następnego dnia o 7 rano. Ale nic takiego się nie zdarzyło, przesłuchanie zaczęło się dopiero o godzinie 15.35, czyli po 32 godzinach od zatrzymania. Wtedy zarzuty postawione profesorowi 20 sierpnia zostały poszerzone o poświadczenie nieprawdy w opinii lekarskiej dla słynnego gangstera Andrzeja Z., pseudo Słowik.

Na konferencji prasowej, która odbyła się tego samego dnia, szef CBA oświadczył, że „generał Jan Podgórski organizował najgroźniejszym przestępcom w Polsce dokumentację medyczną, aby mogli uniknąć więzienia”.

– Nie wymaga uzasadnienia – mówił w sądzie mec. Hilarowicz – iż uzupełnienie zarzutów, już po zatrzymaniu profesora, o jego przestępcze współdziałanie z Andrzejem Z. miało na celu uprawdopodobnienie przed dziennikarzami zasadności sporządzonego następnie wniosku o tymczasowe aresztowanie.

Sąd wniosku adwokata Hilarowicza o przesłuchanie dodatkowych świadków nie przyjął, chciał natomiast wiedzieć, czy w szpitalu wojskowym często zdarzały się takie konsultacje, jakie prof. Podgórski świadczył koledze z WIML.

– To były powszechne praktyki – twierdził świadek prof. Krzysztof K. ortopeda na Szaserów – bo tylko w telewizji może występować dr House, specjalista w każdej dziedzinie medycyny. Ja też przychodziłem z moimi pacjentami do profesora. O pieniądzach za wystawioną po koleżeńsku diagnozę nie było mowy.

Prokurator: – Konsultacje dotyczyły pacjentów ze szpitala, czy też z ambulatorium?

Świadek: – Takich i takich.

Sędzia: – Czy pan słyszał, aby którykolwiek lekarz WIM płacił profesorowi Podgórskiemu za konsultacje?

– Nie słyszałem. Znam profesora od dawna i nie wyobrażam sobie takiej sytuacji.

Sędzia: – Czy jest panu znana opinia, że profesor przyjmował każdego chorego?

– Tak. Ja zachowuję się podobnie. Obowiązkiem lekarza jest reagować na sytuację, gdyż człowiek cierpi. »



Dr Robert J. twierdził, że kiedy usłyszał, że CBS in-

» Sędzia: – Czy zdarzały się przypadki odsyłania pacjenta na inny oddział?

Świadek: – Wielokrotnie.

Również neurochirurg Andrzej K. potwierdził, że były dyrektor WIM, z którym pracuje w klinice już 16 lat, nie odmawiał pomocy żadnemu choremu. I nigdy nie słyszał, aby profesor przyjął od lekarza pieniądze za udzieloną mu konsultację. To byłoby pogwałcenie zasad obowiązujących w środowisku medycznym, a prof. Jan Podgórski pochodził z rodziny lekarskiej.

Mogło się natomiast zdarzyć wydanie opinii bez oglądania pacjenta, tylko na podstawie okazanej dokumentacji.



Już na jednej z pierwszych rozpraw lekarzy z Szaserów świadek Wojciech F., fizjoterapeuta w Wojskowym Instytucie Medycyny Lotniczej, podważył wiarygodność oskarżonego dr. Roberta J. Opowiedział przed sądem o pewnym wydarzeniu z okresu śledztwa:

Funkcjonariusze CBS odwiedzili zakład rehabilitacji, w którym F. był kierownikiem, i zażądali dokumentacji lekarskiej Andrzeja Z. „Słowika”. Fizjoterapeuta przejrzał zawartość komputera swego szefa, ale tego, czego szukał, nie znalazł. Nie pamiętał też, aby zajmował się pacjentem o takim nazwisku.

Zatelefonował więc do dr. J., który był na urlopie, ale nie wyjechał z Warszawy. Przełożony uspokoił go, że wie, o kogo chodzi i zaraz odpowie śledczym, musi tylko coś sprawdzić w komputerze.

– Nazajutrz – zeznał świadek – mój szef bardzo wcześnie rano przyjechał do swego gabinetu. Po pewnym czasie wyszedł stamtąd z papierami „Słowika”. Zauważyłem, że ikony na pulpicie monitora były poprzestawiane. Zameldowałem o wszystkim dyrektorowi szpitala.

Fizjoterapeuta powiedział też na sali sądowej, że po jego zabiegach rehabilitacyjnych niektórzy pacjenci wchodzili jeszcze do dr. Roberta J. – „Ich zachowanie, wygląd, ubiór mogły sugerować, że są z grupy przestępczej. Odnosiłem wrażenie, że prowadzą z moim szefem jakieś interesy”.

Oskarżony J. zareagował na to zeznanie oświadczeniem. Wyjaśnił, że wprawdzie Wojciech F. dysponował kluczem do gabinetu, gdzie stał komputer, ale ponieważ nie był lekarzem, nie miał dostępu do dokumentów medycznych. Zostały one ukryte w specjalnym folderze. I dlatego nie mógł ich znaleźć.

A dlaczego kopie papierów „Słowika” znalazł w mieszkaniu oskarżonego?

– Bo wtedy w moim gabinecie w szpitalu wymieniano wykładzinę i istniała obawa, że karty mogą zaginać – tłumaczył oskarżony. – Ponadto potrzebovałem dokumentację medyczną na wykłady dla studentów.

kach oraz przychodni szpitala wojskowego. Z zeznań lekarzy i pracowników administracji wyłonił się obraz sporego bezhołowia. Zwłaszcza do czasu, gdy szpital został całkowicie skomputeryzowany.

Zeznający lekarze nie za bardzo orientowali się, na jakich zasadach działał system bazy chorych. W klinice neurochirurgii nie było rygorystycznie prowadzonej książki kolejności pacjentów oczekujących na operację, bo lista nazwisk zmieniała się – czasem chory zrezygnował, albo musiał ustąpić komuś, kogo trzeba było ratować natychmiast. Teoretycznie, drzwi na oddział operacyjny otwierało skierowanie od lekarza pierwszego kontaktu. Ale jeśli pacjent był leczony przez szpitalnego neurochirurga, mógł liczyć na uruchomienie „szybszej ścieżki”.

Nie była też ściśle przestrzegana procedura przyjmowania na badanie rezonansem magnetycznym w trybie ambulatoryjnym. Oficjalnie, czas oczekiwania w kolejce do tego badania wynosił 2–3 miesiące. Ale zdarzały się „wejścia na cito” i związane z tym kombinacje przy zapisywaniu nazwisk badanych. Nie chodziło o fałszowanie diagnozy, ale – przeskoczenie miejsca w kolejce. Do 2006 r. procedura legitymowania pacjenta wyglądała tak, że pacjenci byli zobowiązani tylko do podania PESEL-u.

Od czasu, gdy wojskowy kombinat szpitalny otworzył na oścież swoje bramy dla wszystkich interesantów, w ambulatorium obu klinik nie dokumentowano przyjęć pacjentów. Napływający szeroką falą chorzy byli rejestrowani dopiero w chwili zakwalifikowania do operacji. Wtedy przydzielano im numer z kolejki i termin zgłoszenia na operację. Jeśli spotkanie z lekarzem ograniczało się do wypisania recepty, w dokumentacji mogło nie być śladu po tej wizycie. O przyjęciu chorego na oddział decydował wzywany na konsultację neurochirurg.

Obecnie, twierdzili zarówno oskarżeni, jak i świadkowie, ten początkowy rozgardiasz, wywołany zmianami organizacyjnymi, został opanowany.



Tylko jeden z oskarżonych, płk Robert J., dostał wyrok skazujący – rok i 6 miesięcy w zawieszeniu. Sędzia Jacek Gurbierz w uzasadnieniu zauważył, że był to proces skomplikowany, wielowątkowy. Sąd musiał się wypowiedzieć w kwestiach karnych odniesionych do ustawy o zawodzie lekarza, gdzie takich kwalifikacji nie ma.

Wyrok nie jest prawomocny. ■

teresuje się kartą zdrowia niejakiego Andrzeja Z., nazwisko to z początku nic mu nie mówiło. Dopiero po przeszukaniu komputera przypomniał sobie, że miał takiego pacjenta.

Natomiast nie odnalazła nazwiska „Słowika” w komputerowej bazie danych sekretarka medyczna prof. Podgórskiego z kliniki neurochirurgii. – Polecenie odszukania tej karty chorobowej wydał mi funkcjonariusz służb śledczych – powiedziała w sądzie.

Oskarżony profesor opatrzył to zeznanie komentarzem, że być może przyjmując „Słowika” nie dopełnił formalności dokonania stosownej adnotacji. To mogło wynikać z chęci szybkiej pomocy cierpiącemu człowiekowi, w miarę wolnego czasu – na popołudniowym dyżurze w klinice. (Klinika nie posiadała jeszcze wówczas własnej sieci komputerowej ani baz danych). Na konsultacje do kliniki neurochirurgii przychodziło bardzo dużo pacjentów. Sekretarka nie stawiała tamy w dotarciu do ordynatora.

Bramy szeroko otwarte

Kilka rozpraw zajęło sądowi dociekanie, jak wyglądała rejestracja chorych w klini-